

JÓZEF LASOŃ.

LWOWSKIE DZIECI.

Fragmenty z Legionu.

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

Co żyło w Radomsku, wybiegło na dworzec kolejowy, aby zobaczyć świeżych rekrutów, którzy pod knutem moskiewskim przeżyli kilkumiesięczną niewolę — z chwilą zaś oswobodzenia Lwowa ruszyli z pieśnią do wojska polskiego, aby pomścić się za odniesione krzywdy.

Zajechał pociąg przed dworzec, wysypała się gromada z pociągu, na pół obdarta, w cywilnych ubraniach, z pasami, bagnietami i różnorodnymi karabinami. Broń ta, to zdobył na Moskalach, to w ciągu inwazyi moskiewskiej we Lwowie ukradkiem schowana, aby z chwilą oswobodzenia miasta, już jako żołnierze, z karabinem w rękę, do Legionu zgłosić się mogli.

Nie byli to jednakże rekruci. Część to starych weteranów walk karpackich, jak również i I. brygady z pod Tarnowa, którzy wpadłszy w ręce nieprzyjaciół, potrafili uciec i schronić się we Lwowie, z bijącym sercem wyczekując chwili oswobodzenia i ze ściśniętą duszą zmuszeni patrzeć na zniechęconego Moskala i jego gospodarkę w Galicyi i we Lwowie.

Pierwsza partya stu — reszta chwilowo zatrzymana w Piotrkowie.

Przynieszczone twarze, zaiskrzone oczy, w których błyszczał zapal, podwojony kilkumiesięczną niewolą, dały rękojmię, że świeży ten żołnierz nieocenionym będzie w boju, zahartowanym na trud i znój!

Ulubiona pieśń lwowska: „W dzień wrześniowy“ rozbrzmiewała po ulicach miasta, wesołe, szczęśliwe twarze tryskały życiem wśród towarzyszących im tłumów ludności Radomska.

Równiutko, w kolumnie czwórkowej, przemaszerowali przez miasto i stanęli przed biurem ewidencyjno-werbunkowym.

Po kilku wpuszczano do sali, gdzie spisywano ich po kolei.

— Nazwisko wasze, obywatelu? — pytam świeżo przybyłego.

— Ormiański!

— Świeżo zaciągły?

— Ta nie, obywatelu komendancie! Ta, ja stary żołnierz. Od września służę w II. brygadzie. Wpadłem w ręce Moskali, którym uciekłem i we Lwowie się skryłem. Ta, ja nie rekrut, ta, ja stary żołnierz! — mówił zaperzony.

— A we Lwowie my się nie bili? He! — kolega obok stojący wtrąca się. — Tak my się bili, aże strach!

— Ta, ty bądź cicho, jak cię nie pytają! — odrzekł Ormiański.

— He! Cóż tam za wojna była?

— Ta, nic obywatelu! Jak już wiadomem było, że Moskale się wynoszą ze Lwowa, a nasze patrole blisko są, tak my zaczęli polować na nich. Zebrali się nas kilku, wyciągnęliśmy karabiny ze strychu i wio na Kleparów! Pan obywatel wie gdzie nasz Kleparów we Lwowie?

— Wiem!

— Ja się tam urodziłem! He... he... he...

— Z czegoż się tak cieszyacie?

— No, czemu, że ja z Kleparowa.

— I cóżście dalej uczynili?

— Wiecie, obywatelu! Otóż Moskale ustawili przy torze kolejowym dwa karabiny maszynowe i chcieli prać do pociągu, który miał przejechać, właściwie do wojsk naszych, które tamtędy miały wkroczyć. Tak my im od miasta zaszli, niedaleko nich, cichutko, w tyralierkę się rozłożyliśmy i czekamy kiedy się zacznie strzelanina.

— A naboi dużoście mieli?

— Ta, panie obywatelu, aże strach! Wszystkie kieszenie. Taż my magazyny we Lwowie mieli!

— No i cóż dalej?

— Otóż czekamy i czekamy. Gdzieś koło północy padł jeden strzał, zaraz mu odpowiedziały rosyjskie karabiny maszynowe ustawione przy strzecz. Tak ja świstnął, daliśmy ognia. Moskale buch... zaczęli uciekać, a my dalej strzelać za nimi. Nadszli dragoni austriaccy i wspólnie z niemi zabraliśmy kilku do niewoli i te dwa karabiny maszynowe!

— He... he!... — z niedowierzaniem mówię!

— Obywatel nie wierzy? Jak Bożę kocham! Ty, Staszek, chodźno! Ta obywatelu — zwrócił się do mnie — ta i on był i jeszcze jeden cywil, ale on już nie może być w Legionach.

— A to czemu?

— No, bo on zabity!...

Znany śpiewak Zopoth, śmiejąc się ustawicznie, spisywał przy drugim stoliku lwowskich rekrutów. Humor bajeczny mają, każdy z nich ma coś ciekawego i pociesznego do opowiedzenia.

Wreszcie ukończono spisy. Dąbrowski, urzędnik biura, odczytał im rotę ustawy żołnierskiej, której w skupieniu i uwadze się przysłuchiwali.

Komendant biura, porucznik Okołowicz, palnął ognistą, z serca płynącą, prawdziwie żołnierską mowę. Spoważniały oblicza, zaiskrzyły się oczy, mimowoli ścisnęły się dłonie ich, gdy posłyszeli słowa prawdy, walki na śmierć i życie z odwiecznym wrogiem Polski.

— Z trudu naszego i znoju — ciągnął sam wzruszony do głębi porucznik Okołowicz — z krwi naszej i kości, odrodzona ma powstać Ojczyzna. Pamiętajcie chłopcy moi!... Krew polska w was płynie! Legiony dają dowód, że wierne są tradycyi ojców, wy w większej części byliście już żołnierzami! Polska czeka na wasz przyszły czyn! Stańcie się godnymi następcami ojców z 63 go roku!

— Niech żyje Polska! Cześć komendantowi! — rozległy się okrzyki; czapki pod sufit wyleciały.

— Pamiętajcie...

— Jeszcze Polska nie zginęła! — zagrziała pieśń, zagłuszając dalszą mowę porucznika Okołowicza.

Sala trzęsła się od pieśni, z serca płynącej, wzruszenie wielkie poczęło ogarniać obecnych...

Nastąpiła przysięga.

Słowo w słowo, z powagą w głosie powtarzać zaczęli słowa przysięgi, z naciskiem, z hartem, że słów tych dotrzymają.

— Cześć wam polskim żołnierzom! — zakończył porucznik Okołowicz.

— Cześć komendantowi! Niech żyje Polska!

Ze śpiewem wymaszerowali na kwatery. Tłumy publiczności przypatrywały im się z ciekawością, rozentuzjazmowały się pod wpływem żołnierzy, którzy, przecierpiawszy kilkumiesięczną niewolę, z olbrzymim zapalem, z pieśnią radosną gotowali się do dalszej walki.

— Najbliższym pociągiem pojedziecie wraz z obywatelami Zielińskim i Zopothem do Kamińska spisać pozostałych tam na kwaterach żołnierzy, przybyłych ze Lwowa.

— Według rozkazu, obywatelu poruczniku!

W południe odjechaliśmy w wyznaczonym kierunku, gdzie natychmiast po zameldowaniu się w komendzie batalionu, Zopoth i Zieliński pojechali do Rozprzys, ja zaś udałem się do wsi pod Kamińskiem, aby rozpocząć spisy.

Przed domkiem, gdzie mieściła się kancelarya kompanii drugiego batalionu uzupełniającego, stał już pluton rekrutów, czekając na rozpoczęcie spisu.

Mundurki studenckie, gdzieniegdzie podarty siwy mundur legionisty przejrzał z pośród gromadki cywilów, sformowanych w pluton.

Kilku z nich, odłączywszy się od plutonu, pod murem folwarku ćwiczyło się, wzajemnie obejmując komendę.

W tej chwili komendantem był wysoki, chudy, jak tyka, młodzieniec, o czarnych włosach, iskrzącym się spojrzeniu, kocich, zwinnych ruchach ciała. Twarz figlarnym uśmiechem rozjaśniona patrzyła z ironicznym pobłażaniem na resztę kolegów, którzy pod jego komendą byli.

— Lwowiaki, baczość, defilada, pan komendant idzie! W prawo zwrot, bij w dach!

Jeden z nich zrobił w lewo zwrot, drugi zasalutował, trzymając czapkę w lewej ręce.

Plutonowy, sanitet, któremu właśnie urządzano tę defiladę, uśmiechnął się łaskawie i przeszedł obok nich kilka kroków dalej, odsalutowawszy im siarczyście.

— Ty ufermo! — zwrócił się były komendant do żołnierza, który zamiast w prawo, zrobił w lewo zwrot! Ta z ciebie nie będzie żaden żołnierz. Ta i nie wiesz, która ręka lewa, a która prawa, wstyd mi, koci synu, że ty z Kleparowa. Ha! Ty nie wiesz, która ręka prawa! A którą ręką bijesz w głowę, he?!... — Lewą, panie komendancie! Ta ja mańkut!

— Spoczni! Jesteś usprawiedliwiony.

— A ty, mówiłem ci, ciarachu, że do pustej głowy nie przykładasz się ręki. He! Jak ja krzyknął: Defilada w prawo, bij w dach! — to czemu piero-

nem czapkę na głowę nie wsadziłeś, tylko jak malowany stał?!

— Panie komendancie...

— Baczość! Ja wam tu dam! Karne ćwiczenie! W ty! zwrot! Hybaj na mur!

Mur folwarkowy, mający blisko dwa metry wysokości, stał się terenem operacyjnym ćwiczących się Lwowiaków.

Dwu z nich jednym rzutem dostało się na mur, trzeciemu poślizgnęła się ręka, zesunął się na ziemię.

— Padnij, huncwot! — krzyknął komendant. — Ja ci dam mnie kiwać!

Żołnierz, śmiejąc się, upadł na ziemię.

— Ta nie tu, ta on w suche miejsce upadł — złościł się w dalszym ciągu komendant — powstań i padnij tu — wskazał mu ręką kałużę błotną.

— Wiara w tyraliery, hybaj na krzaki, w maliny! — zagrziała komenda.

Grupka zerwała się szybko, zagrzmiało:

— Hurra, hurra, hurra!

Poprzez gąszcz ciernistych krzaków malin i ostrej poczęli się przedzierać, twarz i ręce kalecząc, dopiero na głos plutonowego, zapowiadającego zbiórke, powrócili zziębnięci, z poszarpanym ubraniem i pokrwawionymi gębami.

— Panie komendancie! Melduję posłusznie, co ja z moimi ludźmi wykonał atak na maliny i zwyciężył!

Swoboda wielka była wśród nich, jednakże podczas komendy rzeczywistej szarży wykonywali wszystko poważnie, sprytnie, jakby starzy, doświadczeni i dobrze wyćwiczeni żołnierze.

Do wieczora praca została ukończona. Natrętnie pytali się o mundury, o czas, kiedy wyruszą w pole, opowiadając przytem ciekawe rzeczy z pobytu Moskali we Lwowie.

Jeden drugiego starał się przesadzić w opowiadaniu, ubiedz, zagłuszyć, aby móż się samemu wypowiedzieć. Bardzo dużo z nich było już rannych, czy to w walkach karpackich, czy to wreszcie w samym Lwowie podczas inwazyi, jak również przy odwróceniu Moskali, gdy rzucili się na ostatnie tylne straże moskiewskie, część rozbroili i wzięli do niewoli. Opowiadali, że jeden cywil prowadził cały pluton Moskali uzbrojonych, których miał sam wziąć do niewoli. Prawdopodobnie sami Moskale starali się dostać do niewoli i ów cywilny ułatwił im tylko poddanie się.

— Ta my na drugi tydzień pójdziemy do boju? — pyta na odchodnym jeden z nich.

— Macie czas, chłopcy! Wypocznicie! Nauczycie się dobrze, to pójdziecie.

— Ta my starzy żołnierze! Już my się z Moskalami bili!

Siwe, nowiutkie mundury, całkowicie już są ubrani. I mundur nowy, płaszcz siwy, grubo podszyty, buty, owijaki, szaliki, bieliznę, plecak i chlebak, wszystko nowiutkie dostali, ciesząc się niezmiernie z każdej rzeczy, którą „fasują“. Oglądają uważnie na wszystkie strony, humor tryska, tylko jeszcze na broń czekają.

— Chłopcy! Zold dostaniecie teraz! Za dziesięć dni z góry!

— Wiwat! Niech żyje komendant! A wiele tego będzie?

— Trzy korony dwadzieścia halerzy! — dobitnie tłumaczy im sierżant stacyi transportowej.

— Wiwat! Spiewaj wiara!

„Gdy muzyka gra wesoło,

Wszystko tańczy, skacze wkoło“

— Wiwat komendant! — rozległy się głosy wraz z pieśnią po dziedzińcu magazynów wojskowych.

Następnie wydano im broń, ruszyli w kolumnie czwórkowej na stację kolejową, aby odjeżdżać na miejsce przeznaczenia.

Zapał bił na twarzach niedawnych jeszcze „cywilów“, z dumą patrzyli na cywilnych przechodniów, maszerując ostro, aby dać im poznać, że to już stary żołnierz kroczy.

Wsiadli do wagonów kolejowych, po chwili pociąg ruszył, pieśń wydarła się z ruszającego pociągu:

W dzień wrześniowy i ponury,

Z cytadeli idąc góry,

Szeregami lwowskie dzieci i t. d.“

rozbrzmiała się, poczem coraz bardziej ucichać poczęła.

...Lwowskie dzieci!...

Radomsk, 19 lipca 1915.